

Giovanni Papini

Skończony człowiek

(W najbliższych dniach nakładem Spółki Wydawniczej „Płomień” ukaze się wspaniała książka Papiniego: „L'uomo finito”, w równie wspaniałym przekładzie dr.

Edwarda Boyé. Wyjmujemy z niej fragmenty poniżej). Red. Pannie Zofii Niżyńskiej przekład Jej ulubionej książki od Tłumacza.

Z księgi „Andante”

Przeżyłem wiek mój
Samotnie i dziko.

Ariosto

LUK TRIUMFALNY

Przyszedłem na świat z chorobą wielkości w łonie. Oto jedno z moich pierwszych wspomnień z czasów, gdy mogłem mieć osiem lat najwyżej. Spędzając czas samotnie, czytywałem często książkę szkolną, ozdobioną niezgrabnymi figurami i jakimś malarskimi bazgrołami. Pewnego dnia natknąłem się na historię wienieciana Pe trarki na Kapitolu laurowym wieńcem. Przeczytałem tę historię kilkakrotnie... „I ja także, i ja także” — szepnąłem do siebie, nie wiedząc nawet, dlaczego pocie włożono wieniec na głowę. Wydawało mi się, że ta okragła, marnie reprodukowana fizjonomia, ta twarz płaczącego „sonetnika”, twarz, obramiona sztywnym listem, uśmiecha się do mnie i dodaje mi odwagi... „Także i ja, i ja także”.

Napraszałem się tak długo, aż wreszcie ojciec wziął mnie na spacer do Vial de Colli; po przybyciu na miejsce, zerwałem z niskich krzewów wiecznie zielone liście. Nie byłem pewien, czy jest to ów słynny wawrzyn, lecz nie wiele dbałem o to. Po powrocie do domu, zamknąłem się w pokoju, w którym stał koszyk z książkami. Uwiłem wieniec z liści i włożyłem go sobie na głowę; potem, zarzu ciwszy na ramiona jakiś czerwony łachman, jąłem krążyć po izbie, śpiewając pieśń, która wydawała mi się niezmiernie potężna, bohaterka i uduchowiona; ude rzałem przytem ręką na czoło o skrzyżnię drewnianą. Zdawało mi się, że z wielką pompą wracam na Kapitol i że ten hałas jest niezbędnym akompaniamentem, jak gdyby porzykłem rozentuzjamo wanego tłumu. W ten sposób, w szary dzień zimowy, dokonał się mój błazeński ślub ze sławą. Jednakże pierwszą przysięgę złożyłem przed sobą znacznie później, gdy liczyłem już piętnaście, czy też szesnaście lat, w parną niedzielę sierpniową, około czwartej popołudniu. Waleśałem się samotnie i melancholijnie po jednej z najdłuższych i najszybszych ulic mego rodzinnego miasta. Trzymając w ręku dziennik, kupiony za cenę Bóg wie jakich wyrzeczeń, szedłem przed siebie, z schyloną głową, zmęczony i znudzony, zły na upały i na ludzi.

O tej godzinie ludzie, ogłupiali popołudniową drzemką, wypelzają na ulicę, łudząc się idiotycznie, że zacierpnią trochę wieczornego chłodu. Spotykałem mamki, o gębach stojących w ogniu, mamki z czerwonymi dziećmiakami, beczącymi w pieluchach. Spotykałem spocynych małżonków, prowadzących pod ramię swoje magnifiki, braci, trzymających za ręce swoje siostry, spotykałem grupy młodzieńszków, z papierosami, niedbale przyklepieni do warg, panieneczki w barwnych szalach, panieneczki o oczach błyszczących, w głębi których tają się żądze, starych z jasnymi parasolami pod pachą, wreszcie biednych żół-

nierzy, w sztywnych, jakby skórzanych uniformach i w białych, nicianych rękawiczkach. Tłum ciągle wzrastał i wzrastał, napelniając trotuary i jezdnie. Przechodzono na drugą stronę ulicy, śmiano się, zamieniano ukłony. Oczy kobiet błyszczały, niby czarne djamenty, pod kapelusami, pełnami kwiatów. Od czasu do czasu dwa słomkowe kapelusze, trzymane w wyprężonych ku górze rękach, powiewały nad głowami święteckiego stada.

Czułem się nieswojo. Nie znałem nikogo, a nienawidziłem wszystkich. Byłem źle ubrany, byłem brzydki, błady i wiedziałem dobrze, że nikt mnie nie kocha, że mnie nikt kochać nie może. Ten, kto mijając mnie, spojrzal na ramię, unosił we wzroku pogardę. Czasami ktoś, obejrzawszy się za samotnym włóczęgą, zaśmiał się głośno. Specjalnie okrutnie względem mnie były panienki o białych ząbkach i śniadych cerze, panienki, ubrane w powiewne, białe lub czerwone sukienki. Słyszałem wybuchy śmiechu za moimi plecami. Możliwe, że wcale nie ze mnie się śmiały, jednakże w tych chwilach byłem pewien, że to o mnie chodzi. I dlatego też cierpiałem niewymownie.

I wówczas, nagle zbuntowałem się. Poczułem napływającą do serca falę krwi. Cała moja istota drgnęła nagle. Nie, nie — zawołałem w głębi duszy — tak być długo nie może! Także i ja jestem człowiekiem, także i ja pragnę być wielki i szczęśliwy! Cóż wy myślicie o mnie, wy, głupcy, co myślicie o mnie, pięknie ubrane panienki, mijające mnie z tak bezczelną obojętnością? Zobaczycie, do czego zdolny się okazać! Chcę znaczyć więcej od was, więcej od wszystkich, stanąć ponad wami wszystkich! Jestem mały, biedny i brzydki, ale i ja posiadam duszę, a dusza ta wyda kiedyś taki krzyk że będziecie musieli usłyszeć i wstrzymać swoje kroki. Ja stanę się kimś; wy nadal pozostaniecie niczem. Uczynię coś, stworzę coś, dokonam czegoś, stanę się większy od największych, wy natomiast będziecie dalej tylko jadali, śpiali i spacerowali, jak obecnie! Gdy się zjawię na ulicy, wszyscy będą patrzyli na mnie, piękne dziewczęta będą na mnie rzuciły spojrzeniem, pełnym podziwu, i ścisnęły z drżeniem moją rękę, poważni ludzie wysoko podniosą kapelusze, gdy będę przechodził ulicą, ja, genjusz, ja, wielki bohater!

Myśląc tak, podniosłem dumnie głowę, pierś moja wyprężyła się, a oczy jęły spoglądać już nie z lekkiem, lecz z nienawiścią i dumą na czerwone, śniade i żółte oblicza przechodniów. Stałem się inny i pewnością w tym momencie mogłem się wydawać piękniejszy nawet. Doszedłszy do wielkiego placu, zatrzymałem się przed Łukiem Triumfalnym. Konie kwadrzyły przed siebie na tle nieba, skrwawionego zachodem słońca. Przysiągłem sobie, że muszę się stać wielki przed śmiercią.

Z księgi „Tempestoso”

„Przyszedłem, aby ogień zesłać na ziemię”.

Święty Łukasz.

NATCHNIENIE

Ach, gdybyż nagle rozszalał się w mojej duszy, tak długo hamowany, gwałtem wstrzymywany, wspinały i głęboki, potok mego natchnienia! Ach, gdyby idee trysnęły, jak fantastyczne bicz fontann do samego nieba, a uczucia i obrazy, oraz najdroższe, ostatnie słowa zaczęły padać jak deszcz, aby odświeżyć moje serce, aby pocieszyć, obudzić i zmiekczyć wszystkie serca ludzkie! O gdybyż cała dusza moja stanęła w płomieniach, niby suche ściernisko, niby poręba z karczazami, niby gęsty las, o gdybyż myśli oświeciły niebo, jak pękające rakiety, słowa kasały i piekiły, jak ogień prawdziwy, idee buchaly jak iskry spod śmigającego po

papierze mego pióra, jak iskry z gorącego pnia, gdy nań spadają ciosy siekiery. Gdybyż ja mógł wreszcie oświecić i ogrzać wszystkie dusze ludzkie! Dlaczegoż mnie, właśnie mnie, który o to proszę, który pragnę, łaknie i oczekuje tego, ma być odmówiona ta radość, to szczęście i ta miłość?

O, gdyby w te dni, po tych latach niecierpliwych oczekiwań i szaleńczych krzyków, poczuł, jak się ze mnie wyrzywa potok nowych słów, poczuł, jak mnie zalewa, nigdy jeszcze niewidziana, fala! Gdybyż usta moje obwieściły nieoczekiwane tajemnice, gdybyż mógł odkryć cudowne obrazy, słowa, dźwięki i namietności, jakich nigdy żaden człowiek nie odkrył i nie odczuł w sobie.

Niestety, opisuję ciągle te same historie, mówię o zwykłych

rzeczach i stąkam z trudem po śladach znużonych i przeciętnych myśli! Ileż to razy o zmierzchu wieczornym, przy migającym płomieniu świecy, lub też przy spokojnym i białym świetle nakrytej abażurem lampy, czekałem na wybicie tej boskiej godziny tak właśnie, jak czekają na piękną dzwoneczną, która dała wreszcie obietnicę wiecznego oszukiwania kochankowie. Darłem strony, jeszcze niecałkiem zapelnione grubymi, czarnymi, pospiesznie pisanymi literami, przecierałem sobie oczy rękoma, idiotycznie wbiąłem wzrok w jakiś punkt, lub też, jakby w półśnie, rysowałem profile monstrów i brodatych starych, a potem znowu darłem stronicę, przeklinałem samego siebie i wkońcu podnosiłem się, odpychałem krzesło, odrzucałem pióro, waliłem się na łóżko, nie

będąc w stanie spać, nie będąc w stanie marzyć, nie będąc w stanie zapomnieć.

Tak było sto i tysiące razy! Duch zastygał w sztywnych formach, dusza była zimna i martwa, papier biały, a słowa, jak dawniej, daleka! Genjusz niema, echo nie odpowiada, natchnienie nie budzi się! Zupełny mrok, milczenie i męka!

Czegóż ja nie robiłem i czegożbym nie uczynił dla tego, aby tylko w jakiejś przepięknej chwili móc zaznać wstrząsu, przebudzić się i usłyszeć nagle tajemny głos Objawienia. Kto by mnie natchnął. Bóg czy demon — to nie ważne wcale! Oby tylko ktoś potężniejszy, bardziej jasnowidzący i szalony, zaczął pisać moją ręką, przemawiać memi ustami, myśleć moimi myślami!

Z księgi „Appassionato”

ŚŁAWA

„I pytam się: Któż to poszedł [dalej naprzód?]

Ja bowiem chcę pójść jeszcze [dalej]...”

Walt Whitman.

A gdyby nawet udało mi się

rzucić wam w twarz, wam, którzyście mnie prześladowali, niepokoił, śmieli się ze mnie, męczyli mnie i ignorowali, to dzieło, o którym marzyłem i którego pragnąłem — gdybym nawet rzu-

Alfred Jesionowski

Nowości wielkopolskie

Jeśli chodzi o dziedzinę wydawniczą, to ruch w Wielkopolsce w porównaniu z rokiem ubiegłym osłabił znacznie. Kilka drobnych pozycji odnosi się raczej do dziedziny filologicznej — pedagogicznej niż artystycznej. Na dwie książeczki, które się nie tak dawno temu ukazały, zwrócić chciałbym uwagę. Na jedną dlatego, że jest dowodem niespożytej siły i żywoci intelektualnej starszego pokolenia pisarzy wielkopolskich*), na drugą, bo jest sygnałem ostrzeżenia**).

1. MONOGRAFJA O POLSKIM WYBRZEŻU

Łączność pomiędzy Wielkopolską a Pomorzem była zawsze bardzo silna, o wiele impulsywniejsza, niż pomiędzy Wielkopolską a Śląskiem, mimo, że Poznańskie w czasie odrodzenia narodowego na Śląsk posyłało najlepszych swych synów dla pracy politycznej i oświatowej, dla wzmożenia polskiego kupiectwa. Współżycie Pomorza z Wielkopolską rozpoczęło się na dobre w czasach najnowszych, t. j. od czasów odrodzenia Polski. Jedną z przyczyn tego jest to, że młodzież pomorska odbywała studia akademickie przeważnie w Poznaniu. Dokumentem dawniejszego dobrego porozumienia obu ziem jest świeżo wydana praca Piotra Palińskiego, emerytowanego inspektora szkolnego, jednego z tych niewielu odważnych, którzy za czasów pruskich śmiało się przystawiali do polskości i czynem i słowem ją krzewili. Paliński redagował przez pewien czas „Gazetę Gdańską” i dbał specjalnie o podtrzymywanie polskości w młodzieży, której wynarodowienie najbardziej groziło. Obecnie wydana monografia o Wybrzeżu i Kaszubach, którą autor skromnie nazwał „Przewodnikiem”, ma wszystkie wady i zalety omówionej swego czasu na łamach „ABC” monografii powiatu wągrowskiego. Jest przedewszystkiem może zanadto jednostronnie oparta na źródłach niemieckich, a prawie zupełnie nie uwzględniła bogatego dorobku Instytutu Bałtyckiego oraz poważnych prac polskich historyków. Napisana jest niezmiernie żywo i zajmująco, uwzględnia mnóstwo podań, legend, powtarza znane i przynosi wiele nowych, któreby inaczej były może zupełnie zaginęły. Po krótkim zarysie historii Pomorza rozpoczyna autor swą wę-

drówkę po Wybrzeżu. Punktem wyjścia jest Hel. Śledzimy wędrówkę autora od wioski do wioski, o każdej ma autor coś do powiedzenia, gromadzi skrzętnie wszelkie wiadomości na temat danej miejscowości, jakie potrafił zebrać z literatury i tradycji ustnej.

Po krótkim opisie historyczno-geograficznym podaje autor rozmaite legendy i opowiadania, przeplata je wierszami różnych autorów, ożywiając tem znakomicie swój barwny przewodnik. Rozmaite uwagi aktualne nadają tej książce barwę czegoś osobistego, jakby pamiętnika, wskutek czego cała książka staje się czemś bliskim i milem. Sędziwemu autorowi należy się szczerzy podziw i uznanie za tę zajmującą monografię.

2. „WIOSENNY PŁON JEGO KWIATÓW...”

Zbiorkiem wierszy Ryszarda Jastrzębskiego (p. t. Średniowiecze) nie zajmowałbym się wcale, gdyby nie wyszedł, jako tomik Biblioteki Wsi Wielkopolskiej, których rozwój uważnie śledzę, których sukcesami się raduję. Wszędzie zdarzy się jakiś lapsus, i „Wiciom” się zdarzy, tylko trzeba go zaraz przygwoździć, by się nie powtórzył. Szczerze wyznam, że zupełnie nie rozumiem, dlaczego „Wici” firmowały te niezmienne słabutki wierszyki bez głębi w treści, banalne w formie i ekspresji. Możemy poczekać na dobrą poezję, jeśli jej narazie w Wielkopolsce niema, nie trzeba koniecznie wierszokletów na gwałt patentować. Ot np. wydać tomik wierszy młodego poety poznańskiego Leonarda Turkowskiego, gdzie talent się zapowiada rzetelny, lub Zdzisława Groka, także obiecujący dużo poeta poznański. Ale wierzę, że Jastrzębskiego nie trzeba było wydawać. Nie pomogą mu nawet ilustracje niewymienionego artysty. Nie pomogą także sentymentalne dedykacje umieszczone nad poszczególnymi wierszykami. Jedyne wiersz w tym zbiorze, o którymby dyskutować można, to wiersz ostatni p. t. „Już nie średniowiecze”, ale perła to on także jeszcze nie jest. „Wiosenny płon jego kwiatów” (patrz dedykacja na wstępie) powinien się być odleżeć i po pewnym czasie autor byłby się sam przekonał, że się do druku nie nadaje.

A teraz szybko wydać Turkowskiego lub Groka, by zatrzeć nie miłe wrażenie i naprawić opinię. P. S. Po tych uwagach będzie p. Stefan Przybylski z „Piasta” znów miał materiał dla swego, zresztą ciekawie redagowanego do datku regionalnego.

*) Piotr Paliński: „Przewodnik po polskim wybrzeżu Bałtyku i po ziemie kaszubskiej”. Cz. I. Nakł.: A. Wachowiaka. Gdynia, 1934. Str. 205.

**) Ryszard Jastrzębski: „Średniowiecze” (wiersze). Biblioteka „Wsi Wielkopolskiej”. Tom VI. A. Przydziński. Września, 1934. Str. 30.

cił wam w twarz arcydzieło, któreby napełniło izami suche oczy wasze, zamknęło wasze bezcelne gęby, zmusiło malutkie, spokojne serduszkę, te serduszkę, o istnieniu których zapomnieliście już pod szlafrokiem, do mocnego bucia, gdyby, jednym słowem, udało mi się pobić was na głowę, zwyciężyć was i strącić, dzięki wszechmocnej, promiennej sile mego genjusza, to cóżbyście mi zaofiarować mogli, w jakiż to sposób postanowilibyście wynagrodzić mnie?

Wszystkie biografie wielkich ludzi pełne są waszej wdzięczności! Piękną rzeczą jest ta wasza sława — niema co gadać! Jakto! Właśnie, gdy oddaję najlepszą część samego siebie, żywy kawałek własnego ciała, najcześniejsze krople mej krwi, najgłębszą tajemnicę mego życia, wy nie znajdujecie nic ponadto? Umiecie trąbić o mnie tylko w swych gazetach, naprzykrzać mi się swymi wizytami i listami, wskazywać na mnie palcem, gdy wyjdę z domu, aby odetchnąć świeżym powietrzem, gdy usiądę w kawiarni albo w teatrze, nalegać na mnie, abym pisał jeszcze i jeszcze, nawet wówczas gdy nie mam potemu ochoty, nawet wówczas, gdy mogę tylko samego siebie powtarzać, umiecie tylko zwracać się do mnie z prośbami o list, sąd, autograf, artykuł, podglądać i szpiegować, gdzie chodzę, z kim żyję, co robię, umieszczać moją śliczną podobiznę w książkach i na pocztówkach! I wreszcie po mej śmierci, będziecie się ryli w moich rekopisach, publikowali tajemnicę mego życia, wyciągniecie na światło dnia nieznane jeszcze fragmenty mego życia, a potem ustawicie na środku jakiegoś rynku ohydne kopie mego ciała, odlaną w bronzie lub marmurze.

Wiem, dobrze wiem o tem, że próżność nie jest obca także i ludziom wielkim. Czyż jednak nie ma już na świecie delikatnych i subtelnych dusz? Czy niema takich dusz, czujących się tylko i jedynie duszami, dusz, dla których podobne holdy są tylko brudną zniechęcą? Nie chcę okłasków i okrzyków, nie chcę patrzeć na gęby, rozdziawione z wyrazem za chwytu, nie chcę słuchać nieszczerych pochwał i pochlebstw fałszywych! Obdarzcie niemi wasze baletnice, waszych tłustych tenorów! Rzućcie żołędzie świniom, jeśli dla bohaterów klejnotów nie macie!...

PRAGNĘ ZŁA

Zdarzają się chwile, gdy wydaje mi się, że jest mi dobrze, zdarzają się chwile, w ciągu których czuję się szczęśliwy, gdy mi nie brak nikczemnej odwagi zapomnienia o całej podłości i męce mego życia, gdy powoli, powolutku, cicho, pocichutku, z całą hipokryzją zaczynam się wygodnie urządzać w życiu, pełnem nawyków, statecznym i spokojnym życiu waszem, o wy, moi znienawidzeni bliźni!

Jest to rzecz straszna, tak straszna, że czuję dreszcz wstrętu, przyznając się do tego.

Nie stworzono mnie dla radości, nie powinienem szukać rozkozy. Biada mi, jeżeli rzucę się w usypiające objęcia szczęścia. Jeśli mam pozostać wierny istocie mej duszy — przysiędę — którą złożyłem, rodzając się po raz wtóry, temu paktowi, który zawarłem z życiem i śmiercią, to nie powi-

nieniem osłabiać siebie i zmiekczać mlecznym napojem zwykłych, nędznych radości istnienia.

Zbyt wiele systematyczności, zbyt wiele spokoju, zbyt wiele dobrodusznosci jest teraz w życiu mojem! Gdy wielu synów człowieczych nie wie, gdzie głowy skłonić, ja posiadam mieszkanie o pięciu pokojach, w starym pałacu, stojącym w pobliżu wiecznie zielonych ogrodów. Słoneczne promienie padają przez okna, a tam, wewnątrz, nie brak wygodnych łóżek do spania, wygodnych foteli do siedzenia, płytkich, oraz gło bkich do jedzenia talerzy. Jestem biedny, lecz mimo to, nie odczuwam żadnego braku. Zupa dymi codziennie na moim stole, a dobrze wypieczony chleb chrząści pod memi zębami. Ziemia daje trochę radości i tym, którzy się pragną od niej oddalić, jak marnotrawni synowie.

Teraźniejsze moje życie jest całkowicie usystematyzowane i uregulowane. Kładę się wcześniej spać, śpię do rana, żołądek mój dobrze trawi, przyjaciele odnoszą się do mnie z życzliwością, kobiety ubiegają się o moje względy, a dzieci i ludzie dorośli zdejmują czapki i kapelusze, gdy przechodzę ulicą. Wszystko jest na jak najlepszej drodze i niczego mi nie brak. Tak, nie brak mi niczego, i wszystko jest na jak najlepszej drodze, ale to się tylko tak wydaje tym, którzy sądzą po pozorach i mierzą innych swoją miarą.

Nie poto przecież pojawiłem się na tym świecie, nie poto zgodziłem się żyć, nie poto w ciągu dwudziestu lat nieprzerwanie męczyłem duszę moją, podobny do tego szalonego mnicha, który biczuje sobie plecy do krwi! Pozostałem na świecie tylko dlatego, że świat jest jeszcze straszniejszy, niż nicość, zgodziłem się żyć tylko dlatego, że życie jest bardziej męczące od śmierci, rozdzierałem, kasałem i gryzłem samego siebie, dlatego, że tylko z męki rodzi się prawda, dlatego, że tylko z cierpienia powstają twory ducha. Cała muzyka — to melancholia; w głębi rozpacz żyje jedyna rozkosz, która wstrętu nie budzi.

Nie chcę być zadowolony, spokojny, szczęśliwy, ani bogaty! Ściągam pioruny nieszczęść na moją głowę, wzywam wszystkie nieszczęścia na drogę mego życia! Niechże w paroksyzmie choroby szcękają moje zęby, niech nędma mój dom opustoszy, niech mnie zdradzi miłość, niech mnie opuszczą przyjaciele, niech robactwo pozostawi na mnie swój plugawy ślad, niech gorączka i obłęd opadają na moją głowę, niech wrogość prześladowa i zwyciężają mnie, niech moi najbliżsi konają bez jęku w moich oczach! Niechże runie na mnie całe cierpienie świata! Tylko w tym wypadku będę się mógł dowiedzieć, czy jestem człowiekiem, czy też tylko szmatą, czy mnie podtrzymuje duch, czy tylko szkielet. Włosy moje siwieją, policzki stają się obwisłe, na czole pojawiają się zmarszczki, łyż kręją się w moich oczach — to oczywiście w rachubę nie wchodzi! Tylko w rozpaczliwej samotności rosną kwiaty, których szukam, kwiaty, nigdy nie wędzące, kwiaty, które swoich koron nie kłonią, które pachną i żyją wiecznie.

Z księgi „Allegretto”

ZDOBYCIE BOSKOŚCI

Ty nie umarłaś, zbłąkałaś się jeno, O duszo nasza, na siebie szmerzącą.

Dante Alighieri

„Przeczytałem Ewangelię bez wolterjańskiego zuchwałstwa młodych lat. Zacząłem znów odwiedzać kościoły, nie poto jedynie, aby zachwycić się architekturą, oglądać obrazy na ołtarzach i freski w kaplicach. Przeczytałem Ewangelię, aby w niej odnaleźć Chrystusa. Odwiedzałem kościoły, aby spotkać w nich Boga.

Kult pociągał mnie — nie tylko pięknoscą obrzędów i muzyką mszy śpiewanych. Coś nieokreślonego, — jakaś potrzeba wiary, potrzeba powrotu do dzieciństwa,

powrotu do tego chrześcijańskiego świata, z którego wyszedłem — nurtowała we mnie głęboko, nie wyrażając się w konkretny sposób. Czytałem Świętego Augustyna, rozmyślałem nad Paskalem, wdychałem woń „Kwiatów” Świętego Franciszka. Dotarłem aż do „Introduction à la Vie Dévote” aż do „Cwieczeń duchowych”. Czyż była to ciekawość psychologiczna, żądza wiedzy? Poniekąd tak! Prócz tego istniał jednak i ferment wiary, istniało pragnienie wzięcia udziału w tym ogromnym eksperymencie, który, od czasów Chrystusa do naszych dni, dał światu tyle duchowych i artystycznych arcydzieł...